PRZEGLĄD POLSKO-RUSKI

Nr. 6.

SIERPIEŃ — WRZESIEŃ 1935.

Redakcja — Zmiana w tytule.

Dr. Jan Bobrzyński —„Biuletyn polsko-ukraiński" zżyma się.

Uczestnik Sekcji Polsko-ruskiej Związku P. M. P. — Na kronice Nestora.

ZMIANA TYTUŁU.

Musimy być konsekwentni.

Jeżeli szereg lat pracy,badań,przemyślania i doświadczeń praktycznych przywiódł nas stopniowo do przekonania, że wielkie zagadnienie sojuszu i współdziałania między dwoma narodami, którym Opatrzność tę właśnie drogą rozwoju i obrony wskazała, nie może być rozwiązanem na sztucznej płaszczyźnie ukrainizmu, a możliwem jest natomiast do stopniowego rozwiązania metodą odrodzenia szlachetnej, historycznej ruskiej tradycji i rzeczywistości, to i tytuł działu naszego wydawnictwa, traktującego o tych sprawach, musi być skoordynowany ze swoją treścią i tendencją, musi być wyrazem programu, który głosi.

Dlatego odtąd zmieniamy nazwę „Przeglądu Polsko-Ukraińskiego“ na „Przegląd Polsko-Ruski“, kontynuując jednak numerację tego „Przeglądu“, aby zaznaczyć, że nie rozpoczynamy żadnej nowej sprawy, ale kontynuujemy dawną z odpowiednią tylko korektywą w tytule.

Zmiana ta w tytule nie dowodzi żadnej nagłej zmiany naszych przekonań w sprawie rusko-ukraińskiej; nazwijmy ją tak tutaj po raz ostatni. Przeciwnie, dowodzi tylko, że przekonań naszych w danej kwestji — jak zresztą w każdej innej, którą się zajmujemy — nie formułowaliśmy i nie formułujemy nigdy a priori, jak to robią doktrynerzy, a zwłaszcza stronnictwa polityczne. Przejście nasze stopniowe z ukraińskości na ruskość zagadnienia, przygotowywane dłuższym szeregiem coraz mocniej argumentowanych artykułów w tem piśmie, dowodzi właśnie, że przystąpiliśmy ongiś do studjowania tej

sprawy — teoretycznie i praktycznie — bez żadnych uprzedzeń, stając na utartej platformie ukraińskiej i badając przedmiot z całym, możliwym dla człowieka objektywizmem. Wszak objektywizm stanowi najważniejszą podstawę naszego światopoglądu, oraz rację bytu i największą siłę Naszej Przyszłości.

Stwierdzamy nieraz z ubolewaniem, że wiele spraw i rzeczy, które nas otaczają, oblekając się nieraz w szatę wielkiej powagi i autorytetu, jest w istocie niepoważnych, nieszczerych i za włosy naciąganych dla pożytku różnych Delfinów. A trudna epoka odrodzenia, jaką naród i państwo nasze przeżywa, trudna pod każdym względem, nie może być wypełniona samemi tylko legendami, fikcjami i konjunkturalnemi pochlebstwami, musi także słyszeć objektywną prawdę, mocną, szczerą, nieraz nawet brutalną, niewygodną dla wielu, ale przynajmniej zdrową i bezspornie twórczą — jeżeli nie natychmiast twórczą, to w każdym razie w niedalekiej przyszłości.

Przypominamy czytelnikowi na tem miejscu krótko i węzłowato naszą naczelną tezę w sprawie polsko-ruskiej, do której doszliśmy w ciągu pięciu lat:

Utworzyły się w epoce rozbiorowej Polski stopniowo dwie sztuczne narośle na szerokich warstwach ludu ruskiego po obu stronach austro-rosyjskiego kordonu: Moskalofile, którzy przybrali później nazwę Starorusinów, oraz Ukraińcy. Obie te narośle, powstałe z podnoszących się po długim okresie kulturalnego upadku narodu ruskiego, z którego pozostała wkońcu tylko niemyśląca warstwa chłopska, dowodzą, że naród ruski, wyrabiając w sobie nową warstwę kulturalną pod panowaniem Austrji i Rosji, nie umiał racjonalnie się odrodzić.

Powstanie z jednej strony moskalofilizmu, z drugiej ukrainizmu, z których żaden nie odpowiada szlachetniejszym, prawdziwym tradycjom potężnego ongiś ruskiego narodu, jest wymownym dowodem słabości i bezradności ruskiego społeczeństwa.

Zarówno bowiem moskalofilstwo, jak i ukrainizm czerpią powstanie swe z obcych wzorów i są przekreśleniem istotnej narodowości ruskiej i jej prawdziwej historji. Moskalofilizm stanowi skrajną kapitulację wobec caryzmu Wszechrosji (synonim polityczny: Wszechrusi), a straciwszy wiarę w możliwość odrodzenia państwa kijowskiego, chce zginąć we wszechrosyjskiej nirwanie. Rzecz oczywista, że jest to prąd, najbardziej wrogi polskości i państwu polskiemu, chociaż — w czasach pokoju — patetyczną swą powagą i pewną towarzyską kulturą mydli oczy różnym naiwnym Polakom, jako „grzeczniejszy“ od ukrainizmu, gdyż nie wywołuje pożarów folwarków, ani zamachów bombowych. Sympatyzują z nim zwłaszcza nasi endecy, raz z powodu właśnie owego bezpieczeństwa folwarków i lepiej skrojonych marynarek u Starorusinów, a powtóre wskutek swej kobiecej słabości wobec wszystkiego, co przypomina rosyjskość, a ta słabość znowu jest wynikiem ich świadomej lub podświadomej niewiary w trwałość Polski bez oparcia się jej o moskiewskiego kolosa. Ale, mimo układnych form, Moskalofile ruscy — to charybda, dążąca do zatopienia w rosyjskiej gehennie i Rusinów i Polaków. Stąd ze Starorusinami my wogóle nie dyskutujemy, bo niema z nimi o czem mówić.

Ukrainizm przekreślił także przeszłość ruską, bo nie wiedząc, jak ją do nowszych czasów doczepić, chwycił się, jako swej podstawy, świeższych reminiscencji siczowych, kozacko-hajdamackich, które jednak tem przedewszystkiem grzeszą, że nic

twórczego w sobie nie zawierają (w przeciwieństwie np. do rewolucji francuskiej), lecz zaczynają się i kończą bezmyślnym rabunkiem i przelewem krwi polskiej i ruskiej, a wkońcu najpospolitszem kondotjerstwem. A potem rozpoczyna się okres ideowej i taktycznej pregrynacji tego nieszczęsnego ukrainizmu, narzuconego przez jego inicjatorów całemu ruskiemu narodowi, po różnych obcych nacjach, Austrjakach, Niemcach, Czechach, Anglikach i Francuzach, z których protekcją tworzą się różne siczownictwa, hetmańszczyzny i wyraźne, dosłowne hajdamaczyzny, znajdując wreszcie pewną ostoję także i w nowej, przez wielu mniej krytycznych Polaków popieranej gałęzi wiedzy naukowej: ukrainistyce. Wprawdzie z początku Polacy śmieli się z owej Ukrainy — w rzeczywistości przedtem nigdy nieistniejącej — ale niemasz tak głupiej legendy, którejby w brata = słowianina nie można było wkońcu wmówić. Tak wreszcie i Polacy, wśród nich nawet wielu poważnych, uwierzyli wkońcu w ukraińską Ukrainę i za batutą ukrainizatorów przenieśli się lekkomyślnie ponad rzeczywistością dziejów ruskich i potwierdzają w swej publicystyce genezę „narodu ukraińskiego" z Siczy i z buntów różnych atamanów kozackich.

A wśród obu tych sztucznych, stosunkowo nowoczesnych prądów wypaczonej ideologji nowej ruskiej inteligencji zapomniano zupełnie o czemś trzeciem, najważniejszem, najistotniejszem i najprawdziwszem: o ruskim narodzie — tout court, bez żadnych przydomków.

Policzone to będzie może kiedyś Naszej Przyszłości za zasługę z polskiej i ruskiej strony, że w epoce powszechnej psychozy ukraińśtwa i moskalofilizmu miała odwagę — wbrew wielu polskim uczonym ukrainistom — wysunąć na pierwszy plan

ruską prawdę i ruski naród, z jego dolą i niedolą i bronić go przeciw błędom politycznym zarówno ruskich ukrainizatorów, jak i polskich ukrainistów. Fałszem à la longue żaden naród odradzać się i żyć nie może, ale tylko prawdą. A zarówno fałsz moskalofilski, jak i ukrainizatorski wiodą Ruś do skurczenia i zniszczenia, co jest przeciwne najżywotniejszej polskiej racji stanu.

Dlatego dążymy nie do sztucznego tworzenia jakiejś fikcji, ale do prawdziwego, szczerego wskrzeszenia i kulturalnego podniesienia rzeczywistego narodu ruskiego, wskazując mu przedewszystkiem daleko większe, szlachetniejsze i starsze tradycje, niż rozbójnicze gniazdo międzynarodowego kozackiego kondotjerstwa. Wiemy bowiem, że ten prawdziwy naród ruski, uświadomiwszy się samemu sobie i podniósłszy się kulturalnie w znaczeniu twórczym, uprzytomni sobie swą głębszą rację stanu i nie będzie wrogiem Polski, ale naturalnym jej sprzymierzeńcem i przyjacielem. „Ukrainiec" zaś z samej swej racji bytu musi pozostać zawsze wrogiem Polski, aczkolwiek chytrze niekiedy umie się układać. I dlatego oświadczamy, że nie ufamy żadnym konjunkturalnym, pozornym „ugodom" polsko-ukraińskim.

Zarzucą nam wprawdzie może niektórzy polscy uczeni, że wskrzeszanie, a raczej inicjowanie wskrzeszania narodu i dawnej tradycji rusko-kijowskiej nie jest już na czasie, albowiem carowie rosyjscy, zagarniając Ruś, a z nią razem i tradycje rusko-bizantyńskie, odcięli dostęp do nich dzisiejszym Rusinom. Stawia się tezę, że skoro dwugłowy orzeł bizantyński przeniesiony został z Kijowa do Moskwy i Petersburga, to biednym Rusinom, którym w ten sposób wyrwano z pod nóg większą część ich własnych, narodowych dziejów i tradycji, nie

pozostało inne wyjście, jak tylko uczepienie się zbójeckiej osady siczowej, skoro ta przypadkiem zaingerowała z boku, przy pomocy najpierw tatarskiej, potem tureckiej, wreszcie moskiewskiej, w dzieje Polski i Rusi.

Ale fakt zrabowania w Kijowie dwugłowego orła przez carów nie pociąga za sobą jeszcze bezapelacyjnej konsekwencji wyrzeczenia się raz na zawsze przez naród ruski swej wielkiej tradycji. Nie pociąga tembardziej, że znowu zrządzeniem Opatrzności tego orła dzisiaj w Rosji już niema, skoro panuje tam symbol czerwonej gwiazdy, sierpa i młota. Czyż właśnie dlatego nie przyszła dzisiaj pora na powrót zabranego symbolu wraz z tradycją na ziemie, przez ruski naród zamieszkałe? Przynajmniej na powrót narazie oczywiście tylko symboliczny.

Ale już sam duchowy zwrot inteligencji, a potem coraz szerszych warstw ruskiego narodu do tych tradycji i szukanie bohaterskich swych dziejów np. w walkach pułków Igora, niż w rabunkach i rzeziach siczowych hajdamaków — zbiegów ze wszystkich stron świata — stanowiłby już olbrzymi, przełomowy start w narodzie ruskim ku prawdziwemu, pozytywnemu i trwałemu odrodzeniu.

Tego pragnie, w to wierzy i o oto walczyć będzie Nasza Przyszłość.

Redakcja.

„BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI" ZŻYMA SIĘ.

Istnieje w Warszawie, kochany Czytelniku, takie sobie pisemko pod nazwą „Biuletyn polsko-ukraiński". Właściwie tytuł jego jest błędny, gdyż — wedle swej treści i tendencji — powinien zwać się poprawnie: „Biuletyn ukraiński". Niewiele tam bowiem stoi o sprawach polskich lub polsko-ukraińskich, a natomiast prawie wyłącznie mowa o Ukraińcach, z pewnym dodatkiem spraw rosyjskich i bolszewickich.

Ideologja tego pisemka jest bardzo prosta: Schlebiać i schlebiać Rusinom, godzić się na wszystko, co wymyślą i Polakom zarzucą, gloryfikować dzieje kozaczyzny, jak Homer walki pod Troją, aby tym sposobem zyskać przychylność i łaską ukraińskich prowodyrów politycznych i „zjednać Ukrainę dla sprawy polskiej". Prawda, jakie to proste?

„Biuletyn" ten powstał później, niż „Nasza Przyszłość" i jej pierwsze, fundamentalne artykuły o sprawie rusko-ukraińskiej, które — rzecz szczególna, ale nie dająca się zaprzeczyć — sprawę tę w Polsce na szerszą arenę dyskusji publicznej wysunęły i, jak się to mówi, zaktualizowały. Przedtem, przed wystąpieniem „Naszej Przyszłości" z systematyczną, programową akcją w sprawie rusko-ukraińskiej, prowadzaną według pewnego przemyślanego planu piórem, słowem i poniekąd także i czynem, sprawa polsko-ukraińska, czy polsko-ruska, nie była przedmiotem ogólno-krajowego zainteresowania i dyskusji. Była wojna polsko-ukraińska, były lokalne, zaciekłe starcia partyjne i naro-

dowościowe, była taka i owaka polityka władz względem Rusinów, ale na szerszej arenie publicznej sprawa polsko-ruska nie była w modzie, choć ją nawet ten i ów działacz czy publicysta sporadycznie poruszał, a niejeden Polak nawet srodze przypłacił!

Modę tę szerokiej dyskusji w całem polskiem społeczeństwie prywatnem na temat polsko-ruski wprowadziła dopiero „Nasza Przyszłość“, znajdując — właśnie przez systematyczność traktowania tematu — różnych, mniej lub więcej udanych lub nawet zgoła niefortunnych naśladowców.

Do nich należy bezsprzecznie wyżej wymieniony „Biuletyn“. Otóż ten „Biuletyn“, ferujący swe wyroki w sprawach polsko-ruskich — i wschodnich wogóle — z patosem i druzgocącą apodyktycznością jakiegoś nadrzędnego autorytetu, za jaki widocznie się uważa, darzy od czasu do czasu nasze wydawnictwo swym czupurnym gniewem. Ale uważny czytelnik „Biuletynu“ — a jestem nim, bo lubię badać przejawy polskiej psychiki i psychozy — musi dostrzedz w tych atakach „Biuletynu“ na „Naszą Przyszłość“ i na moją skromną osobę nietyle istotny gniew, ile przedewszystkiem pewną manię wielkości: „Biuletyn“ pragnie gorąco, aby „Nasza Przyszłość“ zwróciła na niego swą uwagę i raczyła nareszcie skrzyżować z nim szpadę!

Dąży do tego upragnionego celu za wszelką cenę. Rozpoczął wypad swój właśnie rok temu, atakując nasze pośmiertne wspomnienie o ś. p. Ministrze Pierackim, który padł od zdradzieckiej kuli Ukraińca. Kumulując w kilku wierszach, bez związku, poszczególne słowa i zwroty naszego obszernego artykułu, wyrwane stąd i stamtąd i dowolnie złożone, prawdziwie endecką metodą, rzucił się na nas, wywołując tem w objektywnym czytelniku mimo-

wolne, ale logiczne wrażenie, jakoby ujmował się za ruskim mordercą. Każdy bowiem, kto przeczytał nasz artykuł, poświęcony ś. p. Pierackiemu i analizie ukrytych sprężyn, które doprowadziły do Jego zabójstwa, a z drugiej strony krótką, a złośliwie ciętą odpowiedź „Biuletynu", musiał mimowoli takie odnieść wrażenie. Bo jeżeli nawet poszczególne wyrażenie autora naszego artykułu było tu i ówdzie mniej udatnem, co wobec zgrozy mordu łatwo wyrozumieć, to pismo prorządowe i propaństwowe, jakiem chce być „Biuletyn", nie powinno w takim momencie napadać na drobne szczegóły artykułu w innem, również prorządowem piśmie, potępiającego zbrodnię i zbrodnicze wichrzenia w społeczeństwie, które tę zbrodnię spłodziły. I to jeszcze napadać wśród wyrażeń, niecałkiem poważnych i przyzwoitych! Niefortunny był to moment napadania na „Naszą Przyszłość" i dlatego atak ten — wbrew oczywiście intencjom Redakcji „Biuletynu" — musiał wywołać wrażenie, że „Biuletyn" chce brać na siebie rolę „adwokata djabła".

„Nasza Przyszłość" nie raczyła oczywiście odpowiedzieć na tak niepoważne i w danym momencie wielce nietaktowne ujadanie. Wówczas nastąpiła w „Biuletynie" jakaś niby walna przemiana. Ukazały się welkie wstępne artykuły redakcyjne, zawierające w sobie jakgdyby rewizję dotychczasowego, dość lekkomyślnego i zdawkowego stanowiska „Biuletynów" w sprawie polsko-ukraińskiej i zapowiadające jakgdyby konieczność oparcia „linji wytycznej" Biuletynu o jakąś „głęboką" myśl polityczno-historyczną. Po tych artykułach, usiłujących sięgnąć — w nieudanem naśladownictwie naszego przykładu — w głąb i samo sedno zagadnienia, nie nastąpiła wprawdzie w „Biuletynie" żadna zmiana kierunku, bo widocznie Redakcja nie miała potemu ani

siły, ani swobody, ale za to rzucił się „Biuletyn“ w sierpniu bieżącego roku na „Naszą Przyszłość“ z przeszło sześcioszpaltowym artykułem — jednym z największych, jakie się dotąd w „Biuletynie“ ukazały — przygważdżając po długich a wodnistych wywodach następujące tezy, na których poparcie wzywa na pomoc wielkie cienie Marszałka Piłsudskiego i Michała Bobrzyńskego, a manowicie:

1) że „Nasza Przyszłość“ jest nicością,

2) że „Nasza Przyszłość“ jest szkodnikiem,

3) że „Nasza Przyszłość“ *odpowie* „Biuletynowi“ zapewne w jakiś niespodziewany sposób, ale że „Biuletyn“ zgóry wszystkiemu nie wierzy, co „Nasza Przyszłość“ odpowie.

Ponieważ lubimy porządek we wszystkiem i lubimy zarazem „sięgnąć każdej sprawie do wątroby“ — na co szczególnie zżyma się motylkujący oportunistycznie po zagadnieniach „Biuletyn“ — przeto stwierdzamy po porządku:

1) że „Nasza Przyszłość“ widocznie jednak nie jest nicością, skoro „Biuletyn“ uważał za konieczne raz po raz ją atakować, a wreszcie poświęcić jej aż sześć szpalt, aby się z nią rozprawiać i błagać o odpowiedź,

2) że „Nasza Przyszłość“ jest wprawdzie oczywistym szkodnikiem, ale ani dla Państwa, ani dla racjonalnego badania i traktowania ruskiego problemu, ani dla polityki rządowej, ani nawet dla samego narodu ruskiego, który metodą ostrej chłosty stańczykowskiej chce przywieźć do opamiętania w imię własnej jego korzyści oraz w imię rzeczywistości i prawdy dziejowej — ale jest naturalnie szkodnikiem tylko dla motylkowej, skrajnie oportunistycznej polityki „Biuletynu“, któremu mimowoli psuje interes,

3) że Redakcja i autorowie obojga narodowości, występujący na łamach „Biuletynu", mogą spać spokojnie, po wyleczeniu się oczywiście z manji wielkości, gdyż „Nasza Przyszłość" wcale dyskutować z nimi merytorycznie nie myśli.

Mamy stanowczo ważniejsze przed nami zadanie — zadanie bardzo ciężkie, gdyż zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, iż głosząc te prawdy, które głosimy, musimy mieć przeciw sobie tych wszystkich Polaków, którym wygodna jest dotychczasowa, utarta platforma ujmowania i traktowania problemu polsko-ruskiego i którzy w swych publikacjach pragną motylkować dalej na tej utartej platformie, wzdrygając się oportunistycznie przed dotknięciem prawdy lub leniąc się do większego wysiłku mózgowego, potrzebnego dzisiaj do postawienia wymienionego problemu na nowej, racjonalnej platformie. Wiemy również, że mamy narazie przeciw sobie całą niemal opinię społeczeństwa ruskiego, któremu rola wiernego cierpiętnictwa na sztucznej platformie kozacko-ukraińskiej i hajdamackiej bardzo przypadła do smaku. Wiemy, że mamy zwłaszcza przeciw sobie wszelkich ruskich i polskich ukrainistów i ukrainizatorów, którzy na ukrainiźmie żerują, zdobywają sobie taką czy inną sławę i popularność w jednym lub drugim narodzie, albo nawet w obu naraz.

Chleb to łatwy na zdawkowej platformie ukrainistycznych frazesów i na gruzach obalonej prawdy ruskiej! Bo gdy się ma być Rusinem, lub Polakiem, widzącym w Rusinie to, czem on jest naprawdę, to — psiakość! — trzeba pracować na serjo, pracować dla własnej i wspólnej sprawy, dla której los skupił niegdyś trzy narody w Rzeczypospolitej o troistym herbie dla konieczności wspólnej obrony przed przemożnymi, a bezwzględnymi wrogami.

Ale gdy się stanie na sztucznie skleconej platformie ukrainizmu, to — jak na deskach teatru i na tle stworzonych ad hoc dekoracji — jakżeż łatwo wzbić się do roli cierpiętniczego protagonisty ukraińskoho naroda lub do samarytańskiej roli polskiego brata — słowianina! Jakżesz łatwo na tych deskach zyskać sławę, mandaty, ordery i inne zaszczyty! Palnąć parę gorących frazesów o Chmielnickim, Mazepie, czy stepowej drumli kozackiej i już, na poczekaniu, jest się miłym, popularnym, głośnym człowiekiem!

Pracować zaś w myśl prawdziwych zamierzeń ś. p. Marszałka lub prawdziwą metodą wielkiej szkoły krakowskiej, a nadewszystko według własnej, w znoju i na długiem doświadczeniu opracowanej linji, to oczywiście daleko trudniej i daleko niewdzięczniej, bo taka robota, choć musi prędzej czy później dobre wydać owoce, nie przyniesie jednak autorom żadnych posad, mandatów i zaszczytów.

I dlatego niesłusznie, choć niesłychanie złośliwie, wmawia w nas „Biuletyn" ukryte, rzekome dążenia do posady wojewody lub przynajmniej starosty. Oddajemy te wszystkie godności stuprocentowo Redakcji „Biuletynu" także i dlatego, że wiemy doskonale, iż zdecydowani, twardzi w swych poglądach protagoniści takiej ideologji i metody ujmowania zagadnień, jakimi są ludzie, skupieni dokoła „Naszej Przyszłości", na posady, mandaty i różne zaszczyty kandydować wogóle nie mogą.

To też możemy poinformować Szanowną Redakcję „Biuletynu" o pewnej zabawnej formalności, która istnieje w naszej Sekcji polsko-ruskiej. Ponieważ długie praktyczne doświadczenie nauczyło nas, że mniejwięcej każdy, kto „ciska się" trochę zanadto w sprawie ruskiej i to zwłaszcza w jej oportunistyczno-ukraińskim odcieniu, kandyduje w głę-

bi duszy na stanowisko wojewody lwowskiego lub nawet owego legendarnego namiestnika Rzeczypospolitej w przyszłej „autonomicznej Ukrainie małopolskiej", dlatego każdego nowego uczestnika naszej Sekcji polsko-ruskiej witamy żartobliwem, ale niemniej stanowczo postawionem pytaniem: Czy szanowny pan nie kandyduje przypadkiem na wojewodę lwowskiego? W ten sposób sprawa tajnych ambicji, która mogłaby powstać w naszem gronie, jest zgóry ośmieszana i zabita, a nowy uczestnik widzi, że to u nas na serjo trzeba pracować i że na ciężką, niewdzięczną wprowadzamy go drogę.

Tyle dla objaśnienia naszego czytelnika, któremu przypadkiem mógłby wpaść w rękę jakiś egzemplarz „Biuletynu", zajmujący się łaskawie, a raczej bardzo niełaskawie naszem wydawnictwem. Na tem rubrykę tę zamykamy, pozostawiając „Biuletynowi" — po jego długich a namiętnych zabiegach — tryumf i dumę, że jednak przecież zmusił „Naszą Przyszłość" do zajęcia się nim na chwilę i dania mu odpowiedzi, wprawdzie nie na jego liczne merytoryczne zarzuty i nie w sprawie ruskiej, no, ale zawsze przecież jakiejś odpowiedzi! Może się z nią Redakcja „Biuletynu" teraz wszędzie obnosić i każdego spotkanego na ulicy znajomka z pośród obojga narodów powitać radosnym okrzykiem: „A taki przecież Nasza Przyszłość nam odpowiedziała!".

A teraz pomówny na serjo o sprawie ruskiej w dalszym ciągu i to o jej rzeczywistej rzeczywistości. O takiej, jaką jest i rozwija się w istocie, a nie o tej pozornej rzeczywistości, którą chcą sztucznie sobie stwarzać zacietrzewieni ukrainizatorzy z polskiej i ruskiej strony i wykręcać dowoli, według własnego widzimisię, aby robić na tem świetny interes polityczny lub conajmniej pozyskiwać sławę wybitnych, a poczytnych publicystów.

Otóż sprawa polsko-ruska przedstawia się obecnie — ogółem biorąc — tak, iż zdaje się, jakoby Polacy i Rusini, zamieszkali na mieszanych terenach Rzeczypospolitej, mieli już dość tej właśnie sprawy polsko-ruskiej, ze wszystkiemi jej nieznośnemi perypetjami i hasłami, a natomiast chcieli żyć nareszcie po ludzku i *cośkolwiek zarabiać!* Pomijając więc pewne spory, czy raczej garście rozindyczonych patrjotników i problemowców lub „współżyciowców“ z jednej i drugiej strony, spokój nastaje w szerokich sferach polskich i ruskich, a za wspólnego nieprzyjaciela uważa dzisiaj polska i ruska ludność kresowa przedewszystkiem poborcę podatkowego i wszelkich reprezentantów instytucji przymusowych dobrodziejstw społecznych, narzuconych ongiś przez demagogję witosowo-socjalistyczną i biurokrację warszawską, a niezlikwidowanych jeszcze przez rządy pomajowe.

Miałem sposobność stwierdzić to naocznie, przebywając niedawno przez dłuższy czas na kresach pogranicznych Małopolski wschodniej i obserwując zachowanie się tamtejszej ludności w okresie przedwyborczym, w którym różne antagonizmy więcej zwykle na wierzch wychodzą, niż w zwykłych warunkach. Ludność polska i ruska przemęczona jest już naprawdę politykierją i hasełkowiczostwem różnych prozelitów ukrainizmu lub polono-ukrainizmu ze Lwowa i Warszawy. Próba maleinowa na nosaciznę końską, która — jak wiadomo — rozmaicie wypada i niezawsze na nosaciznę wskazuje, a natomiast poddaje inwentarz chłopski i dworski pod absolutną dyktaturę pp. oficjalnych weterynarzy, dając asumpt do różnorodnych plotek i wersji, niewątpliwie stokroć więcej obchodzi współżyjącą ze sobą ludność polską i ruską, niż wszelakie patrjotnictwa, zwłaszcza od czasu, kiedy ludzie nabyli prze-

świadczenia, że rozgrywki partyjne i narodowościo-
we o mandaty sejmowe przestały mieć praktyczne
znaczenie.

To też stwierdzić mogę, że gdyby nie politykie-
rzy polscy i ruscy, gdyby nie polscy księża endec-
cy lub ruscy księża ukrainizatorzy i gdyby nie żero-
wisko „polsko - ukraińskiego problemu“, podtrzy-
mywane zawodowo przez pp. redaktorów różnych
polskich i ruskich, względnie polsko - ruskich pism
i pisemek, którzy z tego żyją, to spokój, cisza i zgo-
da zapanowałyby automatycznie na naszej bujniej
Ukrainie.

A w miarę narastania tego spokoju i zgody —
o czem, między innemi, świadczyło choćby zgodne
głosowanie ławą Rusinów na kandydatów polskich
i odwrotnie przy prawyborach, czego byłem świad-
kiem — skonstatowałem z niemałem zdziwieniem
i satysfakcją, że rozszerza się coraz bardziej nazwa
„Rusin“, zamiast dotychczasowej „Ukrainiec“. Ża-
den Rusin — oczywiście zwykły, porządny obywa-
tel, a nie rozpolitykowany ukrainizator — nietylko
nie obraża się, gdy go się nazwie Rusinem, ale uwa-
ża to za rzecz samą przez się zrozumiałą. Tylko na
bardzo oficjalnych zebraniach używana jest — i to
niezawsze — nazwa „Ukrainiec“, niejako urzędowa,
uświęcona, nadająca oficjalnemu mówcy należytą
dozę amtskratfu.

To też ilekroć rozmawiało się ze zwykłym oby-
watelem polskim lub ruskim na tych kresach, to z re-
guły słyszało się o ruskim narodzie, a dopiero przy-
padkowa obecność miejscowego proboszcza grecko-
katolickiego lub nauczyciela ukrainizatora wprowa-
dzała na tapet nieśmiało lub zapalczywie „naród
ukraiński“.

Bo lud pospolity, jeśli w demokratycznych cza-
sach tak się mówić godzi, ma daleko więcej zdrowe-

go zmysłu rzeczywistości, niż mędrców resp. poli-tyków szkiełko i oko. Byli Rusini Rusinami od niepamiętnych czasów, a przed najazdem mongołów mieli bodajże nawet wyższą kulturę od Polaków, bo przejmowaną wprost z Konstantynopola, tego prawdziwego Paryża wczesnego średniowiecza. A i przez czasy tatarskiej niewoli, potem panowania Wielkiej Litwy, potem unji z Polską, także wciąż byli Rusinami, bo przecież czemś innem być nie mogli! Wmieszały się potem między Ruś a Polskę różne rewolucje socjalne i obce moce. I dopiero stopniowo pod ich wpływem powstawała przepaść między obu narodami, której następstwem było kolejne zagarnięcie jednego i drugiego narodu przez Rosję, bo oczywiście gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta. Ale skoro Polska obecnie się wyzwoliła i zamieszkujący ją Rusini mogą teraz znowu swobodnie być Rusinami, czego najwybitniejsi polscy mężowie stanu, a obok nich także wszyscy głębiej myślący Polacy, szczerze pragną w interesie wspólnego wzmocnienia się Polski i Rusi (nie mówiąc narazie o Litwie) przeciw wspólnym, nad miarę potężnym wrgom — to nic nie stoi na przeszkodzie, aby starodawny, ścisły, niejako organiczy sojusz obu narodów odrodzić i to w poprawniejszem, niż ongiś, wydaniu.

Takby mogło być, ale w tym celu należy koniecznie — wbrew gadkom i krzykom mędrców i redaktorów — koło historji silną dłonią uchwycić i wstecz cofnąć, w czasy przedzaborcze i z tego puntu rozpocząć nowy start rozumniejszego współżycia i współdziałania obu narodów, przez historję i geografję bezapelacyjnie na współdziałanie skazanych.

Ale zadaniu temu i tej misji stanął na przeszkodzie sztuczny ukrainizm, zrodzony przez garść zdol-

nych literatów, ale zbyt gorących głów w Kijowie, a potem hodowany starannie, jak kwiatek w oranżerji, przez Metternichów i Stadionów ad usum imperatoris Austriae. I ten, prawdziwie cesarsko-królewski ukrainizm, wyraźnie w każdym gieście germanofilski, żyjący tylko negacją względem polskości, całego świata — za wyjątkiem Berlina — i względem najżywotniejszych interesów własnego, ruskiego narodu, stanął okoniem na przeszkodzie rozwojowi prastarego narodu ruskiego, przekreślając wszelką jego pozytywną, dodatnią tradycję i robiąc go „niehistorycznym" w najnowszych czasach, jak to określił niedawno nie kto inny, tylko sam ultra-ukrainiec Metropolita Szeptycki. I inaczej, biorąc psychologicznie i logicznie, być nie może. Naród, któremu właśni agitatorzy polityczni, przy pomocy niefortunnych protagonistów ukrainizatorstwa z polskiej strony, wmawiają i gloryfikują rozbójniczą tradycję różnych awanturniczych watażków, z całą ich kompletnie bezproduktywną działalnością, którą dopiero znacznie późniejsi poeci i politycy na coś zupełnie innego wyidealizowali, niż była w istocie — taki naród nie może zyskać należytej psychologicznej podstawy do wszechstronnego odrodzenia i pozytywnego działania.

Garści zapaleńców kijowskich było na rękę przerobienie Chmielnickiego, czy Krzeczowskiego, czy innych atamatnów na „narodowych bohaterów ukraińskich", opiewanie ich w pieśniach i malowanie ich w takich strojach, że patrząc na te portrety, odnosi się w pierwszej chwili wrażenie, iż przedstawiają conajmniej króla Jana Sobieskiego. Szkoda, że nikt z tych marzycieli nie wpadł na pomysł namalowania im łańcucha orderu Złotego Runa na piersiach, co byłoby bardziej na rękę późniejszej stadionowej polityce! Dopiero bowiem po takiem sztucz-

nem wyidealizwaniu sprawy ruskiej i przemetamorfozowaniu jej na całkiem nowoczesną legendę ukraińską, przy bezceremonialnem potraktowaniu prawdy dziejowej, mogli ukrainizatorzy zareklamować się po świecie, wzbudzić tanie a bezmyślne sympatje i zrobić się „wichtig“. Praca organiczna, żmudna, wytrwała, a nieraz oczywiście niewdzięczna, nad stopniowem podniesieniem i wprowadzeniem na poważną platformę historyczną narodu ruskiego, zahamowanego trzykrotnie w rozwoju — niewolą tatarską, warcholstwem kozackiem i rusyfikacyjnem jarzmem Moskwy — nie była im do smaku. Wolą danajską przyjaźń niemiecką, płaczliwe dumki, awantury polityczne, jazdy sleepingami po całej Europie i Ameryce, a wreszcie skrytobójcze bomby, kule i sztylety, które ex post z namaszczeniem, pro foro externo, wobec już zimnych trupów ofiar w starannie odmierzonych wyrazach potępiają. I w ten sposób budują niekiedy swą karjerę i mandaty, ale przenigdy narodu swego tą metodą nie odrodzą!

Na rękę jest też cała ta nowoczesna kijowsko-metternechowska szopka ukraińska — coprawda krwawa nieraz szopka! — wielu polskim ukrainistom, zarówno uczonym w cyrylice, jak redaktorom ukrainofilskich pism, politykom i działaczom różnego kalibru. Wszak to łatwy, wspaniały, sensacyjny, chwytający za serce — choć nie za rozum — temat do haftowania, do słowiańskiego samarytanizmu i do wybicia się na widownię bezkrytycznej, jak zawsze, opinji publicznej. Brać udział w „sprawie ukraińskiej“, być bohaterem tej sprawy, głosić ją hałaśliwie słowem i piórem, pogardzać każdym, kto chce nieco krytyczniej, głębiej rozważyć tę sprawę — jakże wdzięczne pole do popisu dla ludzi, którzyby bez tego albo nic nie mieli do roboty, albo ciche gdzieś i szare piastowali posadki!

Ale, co w tem wszystkiem najsmutniejsze i powiedzmy wprost: ubliżające godności narodu o pretensjach mocarstwowych, to niezbity i wielokrotnie sprawdzony fakt, że ruscy ukrainizatorzy w kułak śmieją się między sobą z naiwnych polskich ukrainistów i „zgodnych współżyciowców za wszelką cenę“, którzy idą skwapliwie na lep ukraińsko-hajdamackiej legendy. Zdarzało nam się ze wstydem stwierdzić, jak pozornie ugodowi ukrainizatorscy działacze, zapraszani przez naszych naiwnych ukrainofilów na „braterskie konferencje“, na których, z zapomnieniem godności własnej, rzucano mołojcom niemal całą Polskę pod nogi, potępiając w pień całą historję polską, a idealizując mordy Krzywonosów i innych podobnych huliganów zaporoskich — opuszczali takie zebrania śmiejąc się na schodach do rozpuku i twierdząc głośno (czy nie słusznie?), że lackie pany i redaktory chcą wkupić się w łaski Ukraińców w przewidywaniu, że wybije godzina sprawienia Lachom łaźni i wyrzucenia ich za San, a może i jeszcze dalej.

Można być najszczerszym przyjacielem niesfornego narazie i wyrzuconego z własnej i cudzej winy poza nawias historji narodu ruskiego, można i trzeba mu być prawdziwym, realnym przyjacielem, zarówno ze względów sprawiedliwości, jak i najżywotniejszych przyszłych interesów państwa polskiego, ale trzeba mieć poczucie wstydu i godności wielkiego narodu, który się na takich zebraniach lub na łamach polskich pism reprezentuje. Trzeba mieć także choć szczyptę rozumu politycznego i daru przewidywania w głowie. Trzeba rozumieć, że samem pochlebstwem, rozdawnictwem cukierków, gwałceniem prawdy i poniżaniem własnej Ojczyzny i jej dziejów, nietylko ruskiego narodu do siebie się

nie przyciągnie, ale go tylko więcej jeszcze rozzuchwali, popsuje i dobre dzieło zagmatwa.

Że tak jest, a nie inaczej, świadczą o tem choćby od kilku lat ostatnich jednogłośne opinie polskich polityków, uczonych i działaczy, z którymi mamy sposobność stykać się w sprawie ruskiej. Wszyscy oni twierdzą stanowczo, bez ogródek, że „problem polsko-ukraiński jest zagadnieniem nie do rozwiązania", że więc jedyną możliwością dla Polaków jest stwarzać jakikolwiek w danych konjunkturach modus vivendi, t. j. taki, aby zbyt wiele awantur i zbyt wiele mordów ze strony Ukraińców nie było. W tym celu trzeba im dać to, owo i tamto, aby im przynajmniej chwilowo zatkać usta, zanim z nowemi nie wystąpią pretensjami.

Wierzę Wam, zacni a uparci panowie ukrainiści, że problem „polsko-ukraiński" jest istotnie węzłem gordyjskim, nierozwiązalnym z powodów wewnętrznych i zewnętrznych, a głównie z powodu Waszej naiwności i ślepej, posłusznej wiary w kozacko-hajdamacką legendę. Jeżeli, przykładem Ossolińskiego i Kisiela, chcecie pertraktować z hajdamakami, którzy Wam w skórę dają, to nie będziecie mieli w tem powodzenia, jak go nie mieli i nie mogli mieć uparci polscy pacyfiści z czasów wojen kozackich. Trzęsie się z oburzenia człowiek, czytając dzieje ówczesnej polskiej niezdarności, a oburza się taksamo, widząc Wasz dzisiejszy upór, naiwność, słabość i apolityczne niedołęstwo. Gotujecie Polsce bez żadnej wątpliwości nowy Korsuń i Piławce, oczywiście nie w wojskowem, ale politycznem tych słów znaczeniu.

Inaczej, całkiem inaczej przedstawia się ten niby „nierozwiązalny" problem, jeżeli staniemy na platformie prawdziwie ruskiej, sięgniemy do Włodzimierza Wielkiego i weźmiemy w bezinteresowną,

wychowawczą obronę naród ruski przed rozkładowym, nawskroś we wszystkiem negatywnym i na zakłamaniu opartym prądem kozacko-hajdamackiego ukrainizatorstwa, piętnując go tem, czem jest w istocie: chytro-romantyczną, z poza właściwych dziejów i właściwej niedoli narodu ruskiego ściągniętą i do rozmiarów jakiejś ukraińskiej Iljady czy Maharabaty wyolbrzymioną legendą. Wówczas „problem" ruskiego narodu, wyzwolonego ze skutków materjalnego i moralnego najazdu hajdamaczyzny, jak ongiś z niewoli tatarskiej—która sroższą była materjalnie, ale mniejsze moralne spustoszenia w psychice ruskiego narodu zrobiła, niż ukrainizm XIX i XX wieku — staje się odrazu prostym i rozwiązalnym przy pewnej dozie rozsądku i dobrej woli, a przedewszystkiem szczypty głębszego zmysłu politycznego z obu stron. Rusin bowiem nie może być Polakowi wrogiem, łączą go z nim najdawniejsze, piastowskie i powłodzimierskie tradycje, łączy najbliższe pokrewieństwo krwi, najbliższe wspólne interesy polityczne i gospodarcze, a nadto najbliższy, największy, odwieczny, wspólny wróg, któremu tylko wspólnemi siłami będzie się można *trwale* obronić. Upadek Rusi i ruskiego narodu przyczynił się najniewątpliwiej w bardzo znacznym stopniu do rozbiorów Polski, tak też obecnie naodwrót: Rusin, we własnym, najlepiej zrozumianym interesie, powinien mocarstwowość odrodzonej Polski ze wszystkich sił popierać, w pełnem uświadomieniu bezspornego aksjomatu, że wszelkie osłabienie, a tembardziej nowy upadek Polski pociągnęłyby za sobą w nieuchronnej konsekwencji ostateczny upadek nietylko narodu ruskiego wraz z jego wszelkiemi dążeniami, ale i całej ruskości wogóle. Wyraz „Lach" nie może być czemś wrogiem dla uświadomionego Rusina, opierającego swą tradycję na szla-

chetnej podstawie dawnych dziejów ruskich — i na=odwrót, wyraz „Rusin“ (oczywiście nie Starorusin) nietylko nie przedstawia nic wrogiego dla myślące=go Polaka, ale jest mu nawet podświadomie sympa=tyczny, braterski. Przeciwnie ma się rzecz z nowo=czesnym, a przynajmniej stosunkowo nowoczesnym ukrainizmem. Ten przedstawia się nam, Polakom, faktycznie tylko w trojakiej postaci: albo oryginal=nych haftów na koszulach, albo niczem nie nasyco=nych, podejrzliwych, zdradliwych agitatorów poli=tycznych, albo wreszcie skrytobójców. A te hafty na bieliźnie — zresztą bardzo piękne — to jeszcze strasznie mało, aby zrównoważyć to, co każde sło=wo, ruch i czyn Ukraińca zawierają w sobie ujem=nego, podstępnego, wrogiego, a często wprost wy=stępnego. Nie chodzi nam więc o prostą tylko no=menklaturę, ale o genezę, rzeczywistość i zgubne na=stępstwa tego wszystkiego, co nazwa i światopogląd „ukraińskie“ ze sobą od stukilkudziesięciu lat przy=noszą. Wszak kozacko = hajdamacki ukrainizm, to proste, w istocie półdzikie kondotjerstwo — jak to wkońcu w jednem z niedawnych swych numerów nawet sam „Biuletyn polsko = ukraiński“ przyzna=je — gotowe służyć od niepamiętnych czasów każ=demu, kto chwilowo silniejszy i kto perspektywą większych łupów zapłaci. Jak dawne kozactwo słu=żyło kolejno wszystkim postronnym potęgom, które używały go nawzajem do gnębienia drugich, jak po=tem zdobywało wiernopoddańczo dla Rosji Syberję i Polskę, paląc, mordując i rabując niegorzej od Ta=tarów, jak wreszcie po wojnie światowej najeżdża=ło Polskę z armią konną Budjennego, „niebo a zie=mię tylko zostawując“ — tę Polskę, która pod wo=dzą Piłsudskiego podniosła sztandar wielkiej, nie=podległej Ukrainy i pokusiła się o zdobycie Kijowa, oczywiście nie dlatego, żeby tam narzucić polskiego

wojewodę ale żeby wyrzucić stamtąd Moskali — jak wreszcie niby sprzymierzeni z nami petlurowcy i inni naśladowcy starodawnych hajdamaków nie potrafili, nawet z pomocą polskiej armji, nic innego zdziałać dla wyzwolenia swojej ojczyzny, jak tylko palić polskie dwory i folwarki, tak i sztuczny, wrogi polskości i interesom własnego narodu ukrainizm oddaje się w kondotjerską służbę każdemu, kto lepiej czemkolwiek zapłaci: czy czerwońcem sowieckim, czy marką niemiecką, czy czeską koroną, czy dolarem. Ale stanowczo twierdzimy, że cały ukrainizm, wraz ze swą politycznie par excellence po kozacku nastrojoną literaturą i zakłamaną historją, której najintymniejsze dokumenta i fakta skwapliwie przemilczają uczeni ukrainizatorowie i polscy, ad usum hajdamaczyzny pracujący ukrainiści, nie jest właściwym, „legalnym", naturalnym przedstawicielem ruskiego narodu, lecz tylko krzykliwą, sztuczną, narzucającą się mu partją polityczną, którą na zewnątrz dzielą wprawdzie różnice socjalne, ale na wewnątrz jest ona w różnych swych przejawach, patetycznych, czy wybuchowych, wyrazem tego samego kierunku.

A tymczasem naczelna historyczno-polityczna teza szkoły stańczykowskiej, której Nasza Przyszłość ma zaszczyt być skromnym, ale i wiernym uczniem — kontynuatorem, głosi, że nie wolno nadużywać lub naginać prawdy historycznej do najlepiej nawet pomyślanych celów politycznych. A druga, z niej wprost wynikająca teza stwierdza, że najboleśniejsza nawet prawda historyczna jest zbawienniejsza w skutkach dla narodu, niż najoptymistyczniejsza, ale kłamliwa legenda. I zdaje nam się, że w każdym razie *dzisiaj* już żaden rozumny Polak, ani żaden rozumny Rusin nie mogą tym dwom kardynalnym i tak oczywistym tezom zaprzeczyć. Mo-

gą zaprzeczać im lub postępować wbrew nim chyba tylko albo bojaźliwi oportuniści, albo ludzie karjery politycznej, którzy żywią się i egzystują fałszowaniem prawdy lub małodusznem wspomaganiem fałszu.

Do czego takie zakłamanie wiedzy historycznej może doprowadzić, tego wymownym dowodem jest nowoczesny nacjonalizm niemiecki, który, naginając prawdę i rzeczywistość do fantazji zachłannej polityki, wychowuje cały naród w fałszu i absurdzie pseudo-naukowym. Podobnie, choć oczywiście na mniejszą skalę, postępują wszyscy ukrainizatorzy i sekundujący im bezkrytycznie polscy ukrainiści.

A trzeba wiedzieć i dobrze rozumieć, że historyczna i polityczna szkoła stańczykowska nie jest bynajmniej tem, co dzisiaj mianujemy nazwą konserwatyzmu. Składała się swego czasu przeważnie z konserwatystów, gdyż w ówczesnych warunkach tak głęboka myśl naukowa i polityczna nie mogła być z natury rzeczy pielęgnowana i reprezentowana przez młodą, porywczą, w czerwień przybraną demokrację. Założyła ją więc pewna specjalna, głębiej myśląca grupa ludzi, o indywidualnych zapatrywaniach konserwatywnych, ale *sama szkoła nic wspólnego z konserwatyzmem nie miała.* Przeciwnie — miała raczej pewne cechy rewolucyjne, a w każdym razie w najwyższym stopniu postępowe, bo uderzyła toporem prawdy dziejowej w zakostniałe pojęcia wszystkich, bez wyjątku, warstw narodu, nie wyłączając sfer uczonych. Nie chciała niczego konserwować, wszystkie utarte od niepamiętnych czasów legendy narodowe wzięła pod skalpel na stół operacyjny i do ciekawych a niezbitych doszła rezultatów, mimo gwałtownego nieraz protestu ze strony materjalistycznego konserwatyzmu i mimo

krzyku, wrzasku i przekleństw ze strony czupurnej lub rzewliwie = płaczliwej tromtadracji krajowej.

Daleko nam, współpracownikom Naszej Przyszłości, do tych wielkich ludzi, którzy duchowe fundamenta pod niepodległość narodu przez pół wieku w niestrudzonej i niewdzięcznej pracy kładli. Ale, przy całej naszej skromności, zrozumieją przeciwnicy nasi, uczeni i mniej uczeni, tańcujący kozaka w takt ukraińskiej bałabajki, że nas z raz obranej drogi — opartej na ściśle objektywnem przemyśleniu rzeczy i na wielorakiem praktycznem doświadczeniu — nie zawrócą ataki, a nawet przezwiska ze strony oportunistów, żyjących bieżącą chwilą i konjunkturą, bez żadnego głębszego, na rzeczywistości opartego programu.

Przeciwnie — uważamy, że im większe spadać będą na nas gromy, im więcej pod pręgierz nas wystawią, tembardziej zbliżymy się do wielkiego zaszczytu prawdziwych kontynuatorów stańczykowskiej szkoły i metody ujmowania zagadnień. A jeżeli proste nasze tezy, z zasady nie popierane zbytnio cytatami z ksiąg uczonych (wiadomo bowiem, że każdy pisarz = polityk znajdzie do swej dyspozycji odpowiednie „źródłowe" cytaty), trafią tu i ówdzie do pracowni i przekonania niektórych polskich i ruskich uczonych i wzbudzą w nich równoległy prąd głoszenia prawdy o sprawie polsko = ruskiej, która zmiecie z powierzchni incydent kozacko = hajdamacki, a natomiast wskrzesi wielką tradycję ruskiego narodu i skłoni go temsamem organicznie do samodzielnej, konstruktywnej, a równorzędnej pracy w Rzeczypospolitej troistego herbu — to zadanie nasze na odcinku polsko = ruskim będzie dostatecznie spełnione.

Jan Bobrzyński.

NA KRONICE NESTORA.

Historja jest mistrzynią życia, ale polityka nie powinna być mistrzynią historji. Oto jedna z najważniejszych tez, po szkole krakowskiej odziedziczonych, prawdziwa, jasna, oczywista, oparta na prostym objektywiźmie, którą i my przyjmujemy za fundamentalną podstawę naszych badań i dążeń. Niewolno politykom, nawet w najlepszej, najbardziej patrjotycznej intencji, dostrajać, dokręcać faktów historyczych do apriorystycznych założeń, czy doktryn, czy celów partyjno-politycznych lub narodowościowych. Jedynie bowiem tylko szczera prawda, choćby bolesna, jasno i wyraźnie narodowi powiedziana, może mu być naprawdę pożyteczną. Wszelkie zaś zakłamane optymizmy, megalomanje, legendy i upiększanie lub przekręcanie rzeczywistości są szkodliwe i zgubne.

Uznaniem prawdy o własnych winach dźwignął się naród polski z upadku i nabył zdolności i tężyzny do państwowego odrodzenia, gdy wybiła odpowiednia godzina na zegarze dziejowym. Dlatego i naród ruski twardą prawdę musi słyszeć, jeżeli chce się odrodzić. Tej prawdy nie poskąpimy mu raz po raz, bijąc „toporem“ we wszystkie pochlebcze dykteryjki naciąganej hajdamackiej epopei, która zatruwa z trybuny politycznej i polityczno-literackiej duszę, charakter i zdolność państwowo-twórczą narodu ruskiego.

A w tym celu głębiej trzeba sięgnąć i dokładniej do prawdziwych dziejów ruskich, a nie tych, jakie się — drogą kompletnego i celowego pomieszania faktów i stosunków — po wojnach polsko-ko-

zackich, a zwłaszcza od początków XIX-go wieku fabrykują. I jeżeli we współczesnej Polsce powstał, nie od wczoraj dopiero, silny prąd „odbronzowiający“ legendy w imię prawdy dziejowej (nieraz aż do widocznej przesady), to dlaczego nie miałby powstać podobny prąd rozumnej refleksji i rewizjonizmu legend w poważnych sferach społeczeństwa ruskiego?

Ukrainizm stanowczo bankrutuje, aczkolwiek dla powierzchownej opinii publicznej ma jeszcze pozory politycznej siły, zwłaszcza, że podlewają go wciąż roztworem sztucznego nawozu polscy ukrainiści. My zajrzyjmy nieco głębiej, pod deski tej sceny, na której polsko - ukraińska tragikomedja się rozgrywa. Nawiasem mówiąc, nie brak w tej tragikomedji wybitnych Hamletów!

Otóż przeczytajmy sine ira et studio, co pisze stary Nestor (koniec XI-go i początek XII-go wieku) w swej sławnej Kronice:

„Roku 981 wyruszył Włodzimierz na Lachów i zabrał ich grody, Przemyśl, Czerwień i inne i te pozostają dotąd pod panowaniem Rusi“.

Inaczej to brzmi, niż literatura i polityka ukrainizatorska nowych czasów. Wynika stąd bowiem jasno i wyraźnie, że wielki organizator państwa ruskiego wyruszył na zdobycie ościennej ziemi czerwieńskiej, która, według świadectwa najpoważniejszej ruskiej kroniki, była w X-ym w. ziemią Lachów, czyli Polską. A ponieważ w tym czasie panował w Polsce Mieszko I, zawikłany oczywiście w walki z Niemcami i wytężający wysiłki swe przedewszystkiem w tamtą stronę, więc nic dziwnego, że potężny książę kijowski postanowił skorzystać z tej okazji i zająć mieczem południowo - wschodnią Polskę po San. A jak dalece już wówczas polską była ta ziemia, rodzaj polskiej marchji wschod-

niej, świadczy fakt istnienia na niej już w tak stosunkowo prymitywnym okresie polskich dziejów — w okresie do niedawna pogańskim — istnienia szeregu poważnych placówek obronnych.

Z tego wynika, że fundamenta etniczne i państwowe położyli na ziemi czerwieńskiej nie Rusini, ale Polacy. Fakt, którego w dyskusjach „ugodowych“ z ukrainizatorami nie wolno pomijać.

Dopiero po zdobyciu orężem tej połaci ziem polskich metodą zaskoczenia z tyłu, przyłączył Włodzimierz Wielki nową tę zdobycz do Rusi i odtąd zaczęła się prowincja ta nazywać stopniowo Rusią Czerwoną.

Ale zakończywszy walkę z naporem Niemców, następcy Mieszka I-go wyprawiali się raz po raz na odzyskanie zabranej im ziemi, a pierwszy Chrobry. Niestety, udawało się im to tylko na czas krótki, gdyż potężna wówczas Ruś wyrywała im z powrotem swą zdobycz.

Ale od początku niemal zaboru ruskiego przetworzyła się ta „Ruś Czerwona“ w twór odrębny, nie rdzennie ruski, ale wyraźnie pośredni między właściwą Rusią a Polską, później także i innemi państwami, jak Węgrami i Litwą. Zmieniają się w niej dynastje. Wre o nią ustawiczna walka, w której bierze niekiedy udział i Polska, nie chcąca zrezygnować ze swej dawnej, żyznej prowincji. A potem przychodzi mongolska nawała, która właściwą Ruś zamienia w kupy zgliszczów i wyludnionych dzikich pól, a i Ziemię Czerwieńską raz po raz srodze niszczy.

Po r. 1340 Ruś Czerwona, zwana wówczas halicką, pozostaje bezpańską. Ostatni z tamtejszych książąt, Bolesław Trojdenowicz, jak wiadomo Polak i katolik, z linji książąt mazowieckich, zaproszony przez bojarów halickich na tron, został przez

nich zamordowany. I wówczas rozpętała się długo-letnia walka państw postronnych, roszczących pretensje do Rusi Czerwonej, ale nie ich walka z Rusinami — gdyż ci byli niemal bierni w tej akcji — ale między sobą. Wystąpili z pretensjami Tatarzy, Węgrzy i Litwini. Wystąpił równocześnie także Kazimierz Wielki, jako krewny księcia polskiego i ostatniego księcia halickiego, Bolesława Trojdenowicza i zająwszy bez walki ziemię lwowską i halicką prawem spadku, toczył następnie przez szereg lat ciężkie walki z Litwą i Tatarami, zanim przyłączył wreszcie Ruś Czerwoną do swego państwa.

Mniejwięcej równocześnie zdobyli książąta litewscy na Tatarach Podole, spustoszone zupełnie przez Tatarów, zakładając tam twierdze, a w pierwszym rzędzie Kamieniec Podolski.

Był to więc okres, kiedy ziemia czerwieńska nietylko wróciła do Polski, ale odcięta została od kijowszczyzny szerokim pasem litewskiego władztwa na Podolu. A ponieważ Podole było spustoszone i wyludnione i dopiero zdobywcy litewscy zaczęli na niem krzewić nowe życie — wchodząc w przyjazne stosunki z Polską — a Ruś Kijowska nie mniej leżała ugorem i toczyły się o nią walki między Tatarami a Litwinami, więc ziemia czerwieńska stała się niejako izolowaną wyspą, na której ruskość pod życzliwem panowaniem króla polskiego mogła swobodnie się rozwijać.

Nie było tam wówczas mowy o żadnej zawiści polsko-ruskiej, choćby już z tej przyczyny, że wbrew temu, co kłamią dziś polityczni ukrainizatorzy i czego polscy ukrainiści nie dementują energicznie — Polska nietylko nie zdobyła ziemi czerwieńskiej mieczem na Rusinach, ale w rzeczywistości wyzwoliła ich z pod niszczącego jarzma ustawicznych obcych najazdów, zaprowadziła porządek

i troskliwą otoczyła opieką, bez najmniejszych intencji polonizacyjnych. Polska wystąpiła jako prawdziwy a uczciwy budowniczy miast, handlu i cywilizacji na Rusi Czerwonej, ochraniając zarazem całokształt ruskości na tej ziemi, łącznie z prawosławiem, wszelkiemi urządzeniami, przywilejami i t. d.

Trzeba oddać Polakom sprawiedliwość, że przy wielu swoich błędach i wadach, oni jedni tylko z pośród wszystkichi narodów cywilizowanych lub mniej cywilizowanych posiadają tę rycerskość i humanitaryzm, że podwładnych im narodów rozmyślnie i przemocą nigdy nie polonizują, okazując aż może zbyt daleko posuniętą pieczołowitość ochraniania indywidualizmu tych narodów, ich języka, wyznania, dorobku kulturalnego, uczuć i zwyczajów. Żaden z potężnych lub nawet pomniejszych zachodnich czy wschodnich kolonizatorów czy zdobywców, czy — jak to dzisiaj bywa — mandatarjuszy, nie ustosunkowałby się tak szlachetnie, tak bezinteresownie do mniejszości narodowych, jak to czyniła i czyni Polska z reguły. Nie mówiąc już o dzikich zdobywcach, proszę pomyśleć tylko, jak wyglądałaby ruskość na ziemi czerwieńskiej pod panowaniem zachodnich „cywilizatorów“, jak Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy, Belgowie, a choćby nawet Czesi, nowocześni protektorzy ukrainizmu! Oczywiście pod ich panowaniem nie pozostałby po dziś dzień z absolutną pewnością nawet ślad ruskości na ziemi czerwieńskiej, a zwłaszcza, gdyby rzucono słuszne hasło, że to ziemia wcale ongiś nie ruska, ale według samych źródeł ruskich przez Rusinów przemocą i podstępnie zawojowana!

Pod polskiem zaś panowaniem, poczynając od Kazimierza Wielkiego, a potem jeszcze więcej od czasów Jadwigi i Jagiełły, ruskość nietylko na ziemi czerwieńskiej, ale i na rdzennej Rusi, uwolnionej

ostatecznie z pod jarzma tatarskiego przez Polskę (z pomocą Litwy) i bronionej przed niem przez szereg następnych wieków, zaczyna się dopiero dźwigać z długiego upadku. Naród ruski zmartwychwstaje wogóle dopiero z intensywną polską pomocą. A mogło być przecież całkiem inaczej, gdyż mała i słaba ziemia czerwieńska była całkowicie w mocy potężnego już wówczas państwa polskiego, zdolnego odeprzeć największą wówczas w Europie potęgę krzyżacką, a reszta Rusi przedstawiała prawdziwą pustynię — res nullius. Niemcy, zająwszy Śląsk, zgermanizowali go w olbrzymiej większości, Polska, odzyskawszy ziemię czerwieńską, nie spolonizowała jej wcale.

Ale, że dla zaludnienia ziem ruskich brakło wóczas tubylczej ludności, a nadto jakichkolwiek tamecznych zapór obronnych przeciw barbarzyńskim zalewom od wschodu, dlatego logicznem było i oczywistem i niezbędnem, że na te puste lub napół puste ziemie ruszyła polska kolonizacja, że zaczęto budować zamki i miasta, że powstały liczne polskie osady, a nawet latyfundja. Musiały powstać te polskie latyfundja dokoła pańskich zamków obronnych, gdyż inaczej w ówczesnych warunkach wojskowa obrona takich przestrzeni nie byłaby możliwą. I wtedy to powstało wyłącznie z polskiej strony po raz pierwszy pojęcie „Ukrainy", jako geograficzna nazwa obszaru kolonizacyjno-obronnego, leżącego „u kraju" czyli na skraju państwa, a więc czegoś w rodzaju polskiej marchii wschodniej. Nie ma więc ta sama nazwa, jej geneza i tradycja nic a nic wspólnego z ruskością, ale jest pojęciem czysto polskiem, administracyjno-wojskowem. Wszak dla Rusi pojęcie Ukrainy byłoby absurdem, gdyż ziemia ukrainna stanowiła właśnie centrum Rusi. Tylko więc w stosunku do Polski

i pojęć polskich mogła być Ukrainą. A jeszcze większym absurdem jest przyznawanie ukraińskości czemukolwiek, co znajduje się w obrębie polskiej ziemi czerwieńskiej, czy późniejszej Rusi Czerwonej, wchodzącej w skład rdzennych ziem państwa polskiego conajmniej od sześciu wieków.

Wracając do historji — Jadwiga zajęła Ruś Czerwoną znowu nie mieczem, ale naturalną drogą spadku po Kazimierzu Wielkim i jej ojcu, Ludwiku Węgierskim. Wyprawa jej na Ruś była intromisją do ojcowizny, a jakie wrażenie i jakie rezultaty wydał pobyt obojga królestwa na ziemi czerwieńskiej, świadczy o tem dobrze znany fakt, że wybitni przedstawiciele tamtejszego społeczeństwa ruskiego prosili ich, aby dłużej jeszcze pozostali i obecnością swą przyczynili się do tem szybszego rozwoju kraju, który dopiero pod polskiem zwierzchnictwem zaczął nareszcie swobodnie oddychać, poczuł się bezpiecznym i potężnie pod każdym względem zaczął się rozwijać, przyczem element ruski niczego nie tracił, a tylko moralnie i materjalnie zyskiwał.

W ten sposób, pod obcem niby panowaniem, ale w rzeczywistości lepszem, niż były od dawna przedtem własne rządy ruskie, nie mówiąc już o rządach tatarskich i węgierskich, wszedł naród ruski, najpierw na ziemi czerwieńskiej, a potem stopniowo i na całym obszarze właściwych ziem ruskich, na drogę wielkiego, wspaniałego rozwoju. Równoczesna kolonizacja i obronna militaryzacja tych ziem przez Polskę, niezbędna dla odparcia obcych najazdów, nietylko w niczem temu rozwojowi ruskości nie przeszkadzała, ale wprost przeciwnie: chroniła go przed całkiem realnem niebezpieczeństwem ponownego tatarskiego, a później tureckiego i moskiewskiego zaboru i asymilując w pewnym stopniu polskich kolonistów z ruskością i wy-

twarzając nietylko w rodowitych Rusinach, ale i wśród kolonizacji polskiej, silny lokalny patrjotyzm „ukrainny", przyczyniła się do wielkiego odrodzenia narodu ruskiego.

Podobnego przykładu niemasz w żadnych innych dziejach współżycia dwóch narodów. I o tym bezspornym fakcie nie wolno zapominać ani ruskim ukrainizatorom, ani oportunistycznym polskim ukrainistom!

Oczywiście, jak nic na świecie, tak i ten olbrzymi proces zapłodnionego przez Polskę odrodzenia ruskiego narodu nie odbywał się idealnie, sielankowo, we wszystkich drobnych szczegółach. Skrzętny krytyk historyczny wynajdzie w różnych faktach i szpargałach spewnością mnóstwo szczegółów z polskiej i ruskiej strony, nadających się do surowej nawet krytyki. Ale któżby był tak naiwnym, żeby chciał szukać w dziejach ludzkości absolutnego raju na ziemi! Trzeba traktować rzecz w wielkich rzutach, a wówczas okaże się bezspornem, że naród ruski po paruset-letniej, ciężkiej niedoli obcego jarzma, które mu zupełną groziło zagładą, rozwinął się w cieniu polskich sztandarów znowu do znacznej potęgi i wysokiej kultury, którą już tylko z Polski mógł czerpać, ale swobodnie po swojemu przerabiać.

Niewątpliwym wreszcie jest także fakt, że stosunki ekonomiczne szerokich mas ludowych na ziemiach ruskich były przed wybuchem rewolucji kozackich w każdym razie daleko lepsze, niż w samej Polsce i w całej reszcie Europy wogóle. O wynaradawianiu Rusinów, o prześladowaniu ruskiej kultury, ruskiej religji prawosławnej i t. d. nie było również mowy, a poszczególne wypadki nadużyć z polskiej lub ruskiej strony, napadów, rozbojów, porachunków osobistych i tym podobnych wybryków

były wówczas na porządku dziennym w całej Polsce i na całym świecie i dlatego nie wolno przytaczać ich naiwnie lub z wyrachowaniem, jako rzekomych „dowodów“ prześladowania ruskości.

Ale ponadto zyskiwał naród ruski ogromnie i na jednej także okoliczności, o której dzisiejsi, głupi — trzykroć głupi — ukrainizatorzy, zahipnotyzowani samobójczą megalomanją, słyszeć nie chcą: zaczął wchodzić, jako czynnik coraz bardziej równorzędny, w skład wielkiego koncernu państwowego o troistym herbie, z główną stolicą w Warszawie, ale z ważnemi również stolicami w Wilnie i Kijowie — koncernu, którego powstanie i egzystencja narzucała się organicznie wszystkim trzem narodom, jako conditio sine qua non skutecznej obrony przed mającym nastąpić nieuchronnie naporem świata germańskiego z jednej, a muzułmańskiego, potem rosyjskiego z drugiej strony. Otóż kto tylko ma choć krztynę zmysłu politycznego w głowie, a kroplę prawdziwego patrjotyzmu w sercu, ten musi zrozumieć, że naturalne szlaki ekspansji tych trzech wielkich wrogów — a w nowszych czasach dwóch tylko, ale tembardziej potężnych — szły i idą na Warszawę albo wprost z zachodu, albo ze wschodu przez Kijów i Wilno. Jeżeli więc chodzi o ten wschód, bo z zachodem sama Polska musi sobie dać radę, to jasnem jest, że znacznie przed każdym zaborem przez wroga rdzennej Polski musi nastąpić najpierw zabór i denacjonalizacja Litwy i Rusi.

Otóż, jakże zachował się w głównych liniach, jakiż rozum polityczny i instynkt samozachowawczy wykazał naród ruski w tej swojej niezwykle korzystnej okazji dziejowej, która dała mu możność całkowitego odrodzenia się pod każdym względem i zajęcia równorzędego, bardzo wpływowego stanowiska w koncernie troistego herbu?

Zachował się tak, że z krótkowzroczych pobudek, czysto materjalistycznych — bo kłamstwem jest, że z ideowych, o których się nikomu wówczas na ziemiach ruskich nawet nie śniło — rozpoczął za pokusą bandytów siczowych, zbiorowiska zupełnie bezideowego, kosmopolitycznego i obojętnego dla jakiejkolwiek sprawy ruskiej, o ile nie obiecywała łupów, serję coraz większych buntów, niszczących polskość i ruskość zarazem, przy pomocy kolejnej tych właśnie potęg ościenych, których naturalna ekspansja szła przeciw Rusi, jako pierwszego etapu do zawładnięcia Polską. A chociaż ostateczne wyniki tych buntów i bezmyślnych, samobójczych rzezi nie przyniosły Rusinom z biegiem czasu nic więcej, jak tylko coraz większy materjalny, kulturalny i narodowy upadek i zamianę twórczego polskiego zwierzchnictwa, przyjaznego — ogółem biorąc — sprawie ruskiej, na stokroć gorsze obce jarzma, dążące wyraźnie do eksterminacji ruskości, to jedak naród ruski, w bezmiernej swej naiwności, ustosunkował się przyjaźnie i wiernopoddańczo do tychże właśnie swych eksterminatorów, a zwrócił się za ich chytrym podszeptem przeciw „Lachom“, którzy jedni jedyni ze wszystkich mieli i mają żywotny interes w podtrzymaniu ruskości i odrodzeniu narodu ruskiego.

Takiego szaleństwa, takiego bezmiaru politycznej głupoty nie wykazał chyba żaden naród na świecie! Żaden naród nie byłby pomagał kolejno rabusiom siczowym, Tatarom, Turkom, Moskalom, Niemcom, bolszewikom, wreszcie Czechom do zniszczenia samego siebie pod niczem, albo niezmiernie słabo uzasadnionem hasłem nienawiści do Polski!

Aby zaś mocniej jeszcze utwierdzić się w tym absurdalnym prądzie nienawiści, wyłoniła z siebie

stosunkowo nowoczesna inteligencja ruska jakiś dziwaczny, nawskroś niehistoryczny, na oczywistym fałszu utkany „ukrainizm“, podnosząc sztucznie na piedestał narodowego symbolu i ideału gniazdo siczowe i hajdamackich opryszków, wśród których nie brakło także polskich banitów, kryminalnie obciążonych.

A słabi, jak zawsze we wszystkiem Polacy, gotowi do wszelkich abnegacji, strat i poświęceń dla miłej wygody, zaakceptowali potulnie „incydent siczowy“, jako moment „renesansu“ narodu ruskiego i jego przepoczwarczenia się w jakiś nowomodny naród ukraiński, sięgający posiadłościami swemi i pretensjami aż niemal po Kraków i poprzez Karpaty daleko w nizinę węgierską (proszę zważyć ten niebywały w dziejach fałsz!) i głowią się teraz właśnie w polityce, prasie i literaturze, jakby temu narodowi „ukraińskiemu“ dopomódz, coby mu jeszcze dać, ileby mu z polskości jeszcze ustąpić i jakimby chlebem lub nawet ciastkiem na jego kamienie odpowiedzieć! I tu również stwierdzić musimy, że jak świat światem, nie było jeszcze naiwniejszego, karygodniej wygodnego narodu od Polaków. Po tylowiekowem bowiem doświadczeniu winni Polacy postawić Rusinom twarde ultimatum: „Albo chcecie być tem, czem jesteście i czem byliście zawsze, od niepamiętnych wieków, to jest ruskim narodem, zbliżonym do nas prastaremi, wielkiemi tradycjami i kulturą, pracującym w przyjaźni i głębokiem poczuciu wspólnej z naszą racji stanu, zdolnym więc współdziałać z nami pozytywnie nad odrodzeniem i wzmocnieniem waszem w związku z odrodzeniem koncernu o troistym herbie, a wówczas macie nas stuprocentowo za sobą, będziemy uczyć się waszego języka i waszej literatury i będziecie mogli zajmować bez nieufności z naszej strony wysokie stano-

wiska we wspólnej, tak czy inaczej urządzonej Rze=
czypospolitej — albo jesteście niczem, niehistorycz=
nym zlepkiem szczepowym, istniejącym fałszem
i negacją, apoteozującym ideał skrwawionego noża,
a wówczas zginiecie nieuchronnie, bo nieprawdą żyć
i rozwijać się trwale nie można, a ideologja zasadni=
czej negacji czyni dany zespół społeczny prędzej czy
później zbędnym dla ludzkości i szkodliwym i dla=
tego wiedzie zespół ten samorzutnie do ekster=
minacji.

Ukrainizm narodu ruskiego nigdy nie odrodzi, państwa mu nie stworzy, bo przynosi ze sobą pier=wiastki nawskroś antypaństwowe, niepodległości, ani nawet autonomii w obrębie żadnego państwa mu nie da, gdyż każde państwo, mające u siebie „Ukra=ińców", obawiać się będzie dać pochodnię do rąk wyznawców hajdamaczyzny. Zamknie się ze wszech stron grób nad zukrainizowaną i rozhajdamaczoną Rusią, jako światu niepotrzebną i szkodliwą, a pozo=stanie po niej — jakby hieroglify w grobowcu Tu=tankamona — kronika Nestora...

Uczestnik Sekcji polsko=ruskiej
Związku P. M. P.